

Andrzej SULIKOWSKI

## BRONIĘ MICKIEWICZA

W wiedeńskich „Znakach Czasu” (1992, nr 26, s. 68-82) czytam artykuł prof. Ewy M. Thompson z Uniwersytetu Rice w Houston, zatytułowany *Przeciw Mickiewiczowi*, a dotyczący rzekomej winy tego poety za wszystkie niemal porażki intelektualne Polski w minionym i obecnym stuleciu, a szczególnie za nikłą obecność Polaków w życiu umysłowym Stanów Zjednoczonych. Oczywiście artykuł E. M. Thompson, zawierający wiele cennych myśli o mieliznach lewicowości, o konserwatyzmie i jego pożytkach dla Europy, zbudowany jest z wielu złóż, niemniej, idąc za tokiem wywodu, zacząć chciałbym od Mickiewicza, który dla wielu publicystów stanowi – z racji swej wszechstronności i uniwersalności – coś w rodzaju szkapy, którą każdy chce powozić, bo w zasięgu ręki, cierpliwa i ogólnie w Polsce znana.

A więc teza wyjściowa artykułu: Adam Mickiewicz to „jeden z fatalnych, schizofrenicznych wzorców myślenia i odczuwania w literaturze polskiej” (s. 69). Autorka milcząco zakłada, że wybitny poeta i myśliciel jest faktycznie w Polsce dobrze znany, powszechnie czytany, przede wszystkim w szkole (jedno z charakterystycznych złudzeń ludzi stojących poza oświatą), a zatem mógłby wpływać w istotny sposób na zachowania ludzkie w kraju i na emigracji. Mickiewicz ma więc odpowiadać za częstą od epoki pozytywizmu lewicowość inteligencji polskiej, naszą mitologię nt. „postępu”

społecznego, a także za okolicznościowe imprezy emigracyjne, które autorkę przyprawiają o znamienne rozdrażnienie, a w każdym razie poczucie niedosytu: „W *Panu Tadeuszu* widzę odbicie pseudokonserwatywnych i biernych postaw społecznych, wzorców tych wszystkich bezpłodnych, emigranckich zebrań towarzyskich, gdzie pogadankę wygłasza przybysz z Polski, gospodarze częstują herbatką i ciastami domowego wypieku, a ludzie rozchodzą się po domach zadowoleni, że coś dla Polski zrobili” (s. 69).

Zacznijmy od tego, że Mickiewicz znany jest w Polsce niezmiernie powierzchownie, z kilku ballad, sonetów, dwu powieści poetyckich czy poematów (*Grażyna*, *Konrad Wallenrod*), wreszcie z niedokładnej i banalnej lektury *Pana Tadeusza*. Reszta zdaje się nie istnieć, jak wiem z wieloletniej praktyki egzaminatora podczas egzaminów wstępnych na polonistykę UJ czy KUL. Więc nie zna się poety w roli krytyka literackiego i tłumacza, chłonnącego nowości z całej Europy, nie zna się wykładowcy w Lozannie i Paryżu, a *Literatura słowiańska* czy dająca do myślenia korespondencja czytane są przez kilku profesorów, garstkę studentów seminariów polonistycznych (ale i na studiach nie ma zazwyczaj czasu na lekturę własną, dogłębną, by rzecz – medytacyjną). Mało kto wie, jak ważne dla poety było życie wewnętrzne i jak często choćby w *Zdaniach i uwagach*, orientował swe życie

względem Ewangelii, a przede wszystkim stawiał je jakby przed oczy Chrystusa.

Nie jest to bynajmniej specyfika polska, lecz prawidłowość historiozoficzna, wynikająca z rozwoju cywilizacyjnego: im kto bardziej wykształcony, tym więcej winien przeczytać. A tymczasem tylko w ostatnim trzydziestoleciu wydano na świecie więcej tekstów, niż kiedykolwiek przedtem w dziejach powszechnych. Siłą rzeczy 95% tej produkcji są to utwory o chwilowym tylko znaczeniu, skazane na niepamięć. Najbardziej „przywalonymi” przez książki i inne teksty (np. prace studenckie do poprawy i recenzji) okazują się profesorowie uniwersyteccy, którzy – jak niegdyś Karol Irzykowski, – powinni właściwie co pewien czas ogłaszać apele: „nie przysyłajcie nam maszynopisów do oceny!”

W Niemczech J. W. Goethe jest dziś – podobnie jak w Polsce Mickiewicz – ignorowany przez większość obywateli, a nawet „humanistów”, tzn. studenci i pracownicy szanujących się uniwersytetów, znają tylko drobny wycinek jego twórczości. A więc nie można wiązać niemieckiego cudu gospodarczego z *Faustem*... W rozumowaniu autorki *Przeciw Mickiewiczowi* takie ścisłe związki – między literaturą i tzw. rzeczywistością gospodarczą – mają istnieć i być uchwytnie dla literaturoznawcy czy krytyka. Grube nadużycie metodologiczne, a poza tym myślowy symplizm.

W miarę upływu lat otwiera się przed uzdolnionymi ludźmi możliwość coraz szybszego pisania tekstów, stąd nasze komputerowe czasy muszą nosić piętno uporczywego „nienadażania”, które zresztą – poczucie zapóźnienia jednostki wobec morza tekstów – bę-

dzie się potęgować proporcjonalnie do przyrostu informacji (jest to w końcu także pewna wartość pozytywna, a nie tylko wyraz intelektualnej frustracji: musimy sobie bowiem, przyparciu do muru, ponownie zadać pytania podstawowe: co to znaczy istotna lektura? które teksty stanowią kanon? które budują człowieczeństwo, które zaś niszczą lub rozpraszają?).

Obawiam się również, że tylko osoba wyjątkowo słabo obznajomiona z biografią poety, także publicysty politycznego, fascynującego wykładowcy uniwersyteckiego (choćby świadectwa Micheleta i innych Francuzów, których trudno posądzać o stronniczość) mogła była napisać takie zdanie, jak prof. Thompson: „Pod względem bierności na otaczające go tempo życia Mickiewicz mógłby konkurować z najbardziej tępym robociarzem polskiego pochodzenia z Detroit czy Chicago, tylko tyle, że ten robociarz spędza wolny czas nucąc poleczki, podczas gdy Mickiewicza interesowały bardziej melancholijne pieśni jego młodości” (s. 69).

Dlaczego w tej wypowiedzi tyle poczucia wyższości w stosunku do polskiej emigracji, ludzi przeważnie prostych, i tyle kompleksów wobec tych, którzy weszli do amerykańskich elit naukowych, którzy piszą do „prestżowych” czasopism, mają uznanie i pieniądze? Prof. Thompson ciągle uwikłana w typowo utylitarystyczną mitologię sukcesu i uznania przed światem, pisze: „Przy całym pięknie *Pan Tadeusz* jest zachętą do bezwładu i niemożności. Tak, wszystkie akademie poświęcone czczeniu Konstytucji 3 maja w polskich klubach czy salach parafialnych w USA w znacznej mierze z niego się wywodzą. Niech się kupa Polaków zbierze, niech ktoś zaśpiewa czy zagra,

sentymentalnie pogadamy – to właśnie jest to, co czyni nas Polakami. Rozchodzimy się zadowoleni” (s. 70). Ciekawe, że w tego rodzaju podziałach na „kupę Polaków” i tych lepszych, wyższych, z aspiracjami, autor zawsze pozostaje w indywidualistycznej, zimnej uczuciowo mniejszości.

Wiem, że Mickiewicz stanowi pretekst dla prof. Ewy M. Thompson, że w gruncie rzeczy autorce chodzi o coś innego: współczesna inteligencja polska jest zamknięta na konserwatyzm amerykański, słabo odróżnia go od „neokonserwatyizmu”, nie czyta pism „Modern Age”, „Chronicles” czy „Crisis” (por. s. 80-81), nie uprawia poza tym myślenia konserwatywnego, a raczej lewicowe, i za to też odpowiada poniekąd Mickiewicz, następnie romantyczny „duch-rewolucjonista”, wiejący od lewicy i zarażający Polaków w ciągu minionych dwu stuleci ideami bezbożnych myślicieli typu Marksa, Comte’a, Nietzschego, Freuda i wielu innych (por. s. 77). Nie bójmy się myśli ludzkiej – skądkolwiek by płynęła, może przynosić pożytek, a prawdę i tak odszukiwać musimy na własny rachunek.

W artykule dostrzegamy pewne charakterystyczne sprzeczności. Z jednej strony, autorka narzeka, że Mickiewicz właśnie zachęcał młodzież do „zamykania drzwi od Europy hałasów”, z drugiej strony – w dalszym toku wywodów – okazuje się, że było jednak to wołanie mało skuteczne, skoro tylu sobie myślicieli zachodnich przyswojono, z tylu czerpano. Nie taki więc Mickiewicz groźny, nie wszyscy go na szczęście słuchają. Rzekomo nieobecny w polskiej myśli współczesnej Alexis de Tocqueville (s. 81) został

przecież przetłumaczony kilkanaście lat temu na polski, prezentowany był najpierw m. in. na łamach „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”, następnie wydany w odrębnych tomach, do czego przyczynili się m.in. Marcin Król i Wojciech Karpiński.

Tak więc nie uważam – jak cytowany przez prof. Thompson Leopold Tyrmand – abyśmy, jako naród, byli „nieobecni w wielkich rozgrywkach intelektualnych świata” (s. 81). Nie obawiam się też, abyśmy w przyszłości byli zupełnie pozbawieni miejsca w dziejach myśli europejskiej. Najpierw sprawa tego, co kto za „świat” uważa. Jeśli chodzi o elity intelektualne, nie mamy się czego wstydzić, bo w zakresie filozofii działa na emigracji nie tylko jeden Leszek Kołakowski, ale dziesiątki utalentowanych profesorów, a jeden z nich stoi na czele rzymskiego Kościoła i jest zarazem jednym z najpłodniejszych współczesnych pisarzy teologicznych. Duża część czołowych polskich biologów, matematyków czy fizyków pracuje w Stanach Zjednoczonych i na Zachodzie, nie ustępując miejscowym koryfeuszom.

Jeśli przez „świat” rozumieć innych ludzi, zaszczyty, władzę, pieniądze itd., to kultura polska i w tym zakresie potrafi sprostać Zachodowi. Możliwe, że nasza religia nie podoba się tamtejszym społeczeństwom zlaicyzowanym, jako odmiana katolicyzmu tradycyjnego. Tego rodzaju zarzut traktować trzeba jako epitet, świadczący o czysto zewnętrznym, powierzchownym rozumieniu chrześcijaństwa. Mam wrażenie, że Ewa W. Thompson nie bardzo uświadamia sobie, czym dla całych pokoleń Polaków była Ewangelia, rozumiana jako zasada życia co-

dziennego i sposób poznawania rzeczywistości (pisanej zarówno małą, jak i dużą literą).

Otóż wizja kultury polskiej, rozsnuta w artykule *Przeciw Mickiewiczowi*, posiada, obok wielu pomniejszych, „warsztatowych”, jeden zasadniczy mankament, sprawiający, że autorka rozmija się zarówno z duchowością poety, globalną wymową jego tekstów, jak i duchowością kultury polskiej. Defekt polega na tym, że w kraju nad Wisłą starano się – przynajmniej niektórzy starali się – budować od początku jeśli nie na samym Chrystusie jako opoce, to w bliskim sąsiedztwie tego najbardziej niezwykłego kamienia węgielnego, jaki zna kultura świata.

Tak więc to nie Rewolucja Francuska przyniosła Polsce i Mickiewiczowi wezwanie do „braterstwa narodów”. Także i hasła „liberté”, „fraternité”, „égalité” – wyszydzane przez autorkę jako twór krwawych jakobinów – przywędrowały do Polski przed wiekami, ukryte w tekstach Ewangelii i Listach Pawłowych, gdy jeszcze nad Sekwaną nie wymyślono gilotyn i nie przechwycono myśli chrześcijańskiej, odbierając najważniejszym jej treściom „nieusuwalną” podstawę, czyli samego Chrystusa, działającego w Kościele i w każdym chrześcijaninie (poprzez życie sakramentalne).

Z tego powodu nie przeceniałbym myśli konserwatywnej, choć mam dla niej sporo sympatii. W krakowskim środowisku zawiązał się przed dwunastu laty zespół redakcyjny kwartalnika „Arka”, redagowany przez młodych ludzi, zafascynowanych myślą konserwatywną. Do tych samych tradycji politycznych nawiązuje dziennik „Czas Krakowski”, redagowany przez Jana Polkowskiego. W obu tych pismach za-

mieszczałem swe teksty, wyrażając w ten sposób poparcie dla konserwatyizmu stosowanego. Ale mam świadomość ograniczeń tego poglądu, jak każdego ludzkiego. Uważam więc, że myśl nasza powinna przebijać się ponad kategorie ideologiczne, którymi z taką werwą, choć z ograniczoną skutecznością, operuje prof. Ewa W. Thompson. Przede wszystkim unikałbym powierzchownego i uderzająco jednostronnego przykrawania czyjegoś wybitnego dzieła do swoich jednorazowych, publicystycznych celów.

Z dużą ostrożnością posługiwałbym się pojęciami „prawica” – „lewica”, „konserwatyzm” itd., pamiętając, że ich wielorakie znaczenia zmieniają się nie tylko w ciągu historii, ale i w zależności od miejsca, z którego je oglądamy i zamierzamy opisywać (jest to szczególnie przypadek relatywizmu poznawczego, istniejącego w poznawaniu historii); stąd potrzeba każdorazowych definicji, uściśleń, znaczenia niuansów, czego bardzo brakuje w ataku *Przeciw Mickiewiczowi*.

Wreszcie ocena religijności, instytucji kościelnych, zbiorowości, poziomu intelektualnego wiernych itp. wymaga od publicysty dużej, praktycznej znajomości życia, szacunku dla prostego człowieka i pracy fizycznej, głębokiego, egzystencjalnego zrozumienia wspólnotowości, bez których nie byłoby cywilizacji i bez których niemożliwe jest codzienne życie rodzinne.

Ważne jest wreszcie przy stawianiu takich ocen własne doświadczenie religijne, rola modlitwy, rozumianej nie jako chwilowe recytowanie „formuł”, ale jako ciągła, własna postawa życiowa przed Bogiem, pełna czci dla Tajemnicy i ufności w Opatrzność. Uważam, że właśnie chrześcijaństwu –

szczególnie modlitwie przed Chrystusem Eucharystycznym – wiele zawdzięcza cała polska kultura, a w niej „personalizm polski” o którym tak celnie pisała w swych pracach Hanna Malewska. Przedstawicielem tak rozumianego personalizmu był także, z jednej strony, Mickiewicz, z drugiej zaś, Norwid; później wielu, spośród których wyróżniłbym Józefa Czapskiego, Antoniego Gołubiewa czy Jana Twardowskiego.

Wobec żywego źródła mocy i mądrości, jakim jest Chrystus w Kościele,

blednie nasza zwyczajna, doczesna pojęciowość, milknie gwar sporów. Nie pytamy już, kto z nas należy do konserwatystów, kto do lewicowców. Przestajemy się uważać za rewolucjonistów czy „rozbijaków Europy” (co nam usiłuje insynuować prof. Thompson, jakby zapominając, czym jest sytuacja narodu zniewolonego przez zaborców i ponizanego w każdym pokoleniu). Patrzymy raczej ku temu światłu, które nam obiecuje poznanie skromne, lecz bliskie Rzeczywistości.